

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

13

Gospodyni kiwała głową z uznaniem:

— Pani nauczycielka dobrze mówi, sumiennie, mądrze, jakby z książki, albo jeszcze lepiej!..

Ale pełne zapалу słowa młodej dziewczyny padały na twardy, niepodatny grunt, jakim była zdeprawowana dusza Sojkowej.

Franka uśmiechnęła się lekceważąco... Przedewszystkiem błyskawicznym spojrzeniem objęła i oceniła ubranie młodej nauczycielki: modną, fałdzistą, doskonale skrojoną, popielatą spódnicę i przejrzysty batyst białej bluzki.

— Niczego, „fine“ — zdecydowała w myśli. — O! Jak się to pięknie układa!... Tylko „kolur“ ni-jaki... błady...

I z zadowoleniem spojrzała na swoją bluzkę, tak jaskrawo szafirową, że aż oczy od patrzenia bolały.

— Zemla, to podstawa... to grunt — powtórzyła Hela.

Sojkowa wzruszyła ramionami...

— E — co mi ta ziemia!... Czy ja ziemię ugryzę, abo odzieję się w nią, abo da mi ziemia buty, kiedy ja nie pies, żebym boso chodziła!... Pniøndze to grunt!... Z pniøndzami cały świat otwarty...

— Robić ci się nie chce — wtrąciła gospodyni — a hulać byś sobie rada! Ot, co...

— A cóż wam do tego? Czy to ja się do was wtrącam?... Doorze to każdemu ozorem pyłować i nauki dawać... Ja nie dziecko, swój rozum mam! Co mi się spodoba, to i zrobię!... Bywajcie zdrowe, kłaniam się pani nauczycielce!

Po wyjściu Sojkowej, gospodyni zwróciła się do Heli, która stała zmieszana i rozczerwona...

— Szkoda było panienki gadania... To już taka utratnica, taki „lofer“, co o żadną dobrą radę, o żadne przykarcenie nie stoi!... Ona już, jak amen w pacierzu, wszystko przemarni... Pewnikiem ten żyd Wajkrat do jej chałupy wlezie, bo on tam już z dawna „niucha“...

— Ależ temu trzeba przeszkodzić!..

— A jak przeszkodzić, kiedy ona panią swojej wole, bo mąż na wojnie zabity... Jeszcze i dzieci ukrzywdzi, bo choć ta jest opiekun do nich, jej stryj, ale to taki moczymorda, że mo kubek gorzoty zaplać, to na wszystko przystanie!... Ale co ta o nią... Ona już tak, jak ten kamień, co z góry leci, spaść musi!... Gorzej, że i na innych gospodarzów i gospodynie zasadzają się te, jak panienka powiedziała, spekulanty, lichwiarze... A straszą, a przypochlibiają się, a namowiają: sprzedaj, a nie, to wyharenduj... A, żeby ich...

Michnęła ręką i poszła do swojej roboty.

Od gośńca mósł się jakiś głos, wyśpiewujący rozgłosnie:

„Żebyś ty, dziewczyno, cały Kraków miała,
Tobys go przepita i przetańcowała!..
Hu — ha!“

ROZDZIAŁ IX.

— Anielko! Są dwa listy dla ciebie i jeden dla panny Józii... Gdzie ona jest?

Kazimierz Walczak wszedł do pokoju, utykając trochę i podał żonie listy.

— Gdzie Józia?... Nie wiem! Pewnie poszła na spacer. — Anielka odłożyła na stół książkę, którą przed chwilą czytała.

— A, prawda — widziałam ją niedawno, jak szła z praktykantem... Naturalnie — gdzieżby się mogła ob- iść choć jed-n dzień bez flrtu i kokieteryi!... Mogłabyś ją doprawdy przyzwyczaić do porządnej i systematycznej roboty, toby może trochę zmądrzała!

— Dajże jej spokój!... Wczoraj cały dzień smażyła ze mną konfitury...

— A tak, bo to był jej „gospodarski“ dzień... Kiedyindziej wyciąga wszelkie możliwe podręczniki i oświadcza, że będzie się uczyć... Potem z równym zapalem zaczyna szyć, albo haftować, czy coś innego rob-ć... A wkońcu rzuca to wszystko w ką, niczego nie sk-ńzywszy i bałamuci, kogo się tylko da..

— Ależ ona jest tutaj na wakacjach... Niechże używa swobody i odpoczywa — bronila przyjaciółki Anielka.

— Po czem? Kiedy ona przez cały rok niewiele więcej robi!...

— Kaziu! Nie bądź nudnym zręda!... Trzeba ludzi brać takimi, jakimi są! To się na nic nie zda

chcieć ich koniecznie odmieniać, przekształcać, urabiać... J zka ma swoje wady, ale przytem ma złote, kochające serce... We dworze cała służba i wszyscy przepadają za nią...

— B, ona ich także kokietuje... Ona kokietuje i ciebie i dziecko pięcioletnie i ośmiesięcioletnią babę wiejską i starego proboszcza i sufit i podłogę i swoje bućki... Kokieterya leży w jej naturze...

— Kaziu, a czy to się przypadkiem nie nazywa „das ewig weibliche“?

— B-ć moze! Mnie tego rodzaju „ewig weibliche“ nigdy nie pociągało...

— Strasznie jesteś surowy i wymagający!...

— To trochę twoja wina! Zepsułaś mnie... Zapominam, że nie wszystkie kobiety chcą i mogą być takimi, jak moja Anielka — powiedział Walczak, obejmując twarz spojrzeniem pełnym miłości.

Anielka roześmiała się.

— Co? Pan mąż zaczyna mi mówić komplementy — a to dobre! Szkoda tylko, że nie zawsze tak bywa... Pamiętasz, jak mnie wczoraj skrzyżda-łeś?... No, ale teraz nie przeszkadaj mi, chcę przeczytać listy. Jeden jest od cici ze Szwajcaryi.

Wzięła list do ręki. Zanim jednak rozerwała kopertę, spojrzała na męża, który stał, opierając się ręką o stół.

— Kaziu, dlaczego nie siadasz? Doktor mówił... Walczak nie usiadł jednak. Po twarzy przebiegł mu nagle cień.

— Więc za takiego niedołęcę mnie uważasz?

W głosie jego zabrzmiała jakaś nuta gorzkości, czy żalu.

— Przestań pleść głupstwa, bo się pogniewamy!... Trudno, doktora słuchać musisz... Przecież sam wiesz, jak ciężko byłeś ranny...

— No, to, że mam sztywną nogę i jedną ręką niezupełnie władam, to jest ze nie powód, abym miał chuchać na siebie i pakować się pod klosz, siedząc w... posagowym majątku mojej żony... Muszę żyć i pracować, jak zdrowi, normalni ludzie... Inaczej mieliby słusność ci, którzyby się nad tobą litowali...

Walczakowa zerwała się tak gwałtownie, że przewróciła krzesło.

— Kaziu! Ja czegoś podobnego słuchać nie chcę!... To ni-g-dziwe z twej strony, że tak możesz mówić... Przedewszystkiem popatrz na mnie i powiedz, czy ja wyglądam na nieszczęśliwą...

Spojrzała na męża z tem bezmiernem uszczęśliwieniem, jakie daje tylko prawdziwa, głęboka a bezinteresowna miłość kobieca.

Walczak nie odpowiedział nic. Ucisnął silnie rękę żony. Zrozumiał się bez słów.

— Niechże ja się nareszcie zabiorę do tych listów... Kaziu, siadaj! Jesteś jeszcze rekonwalescentem i słuchać musisz!... Siedzisz już, no dobrze... A teraz cicho, bo ja czytam.

Zaczęła czytać, przerywając sobie sama ciągle.

— Cicia zachwycona Szwajcaryą, Alpami, Le-manem, hotelami, kasynami, serem szwajcarskim, czekoladą szwajcarską, krowami szwajcarskimi — słowem wszystkim. Za życia wujka marzyła o tej podróży, ale wujek nie protegował ani wyjazdów za granicę, ani wogóle żadnych większych wydatków... Cicia zamieszkała teraz w Montreux. Robi wycieczki do Cullonu Veytoux, Glion, Caux, Rocher de Naves, Les Avants, Vev-y i tak dalej. Zauważyła strasznie, że nie może zwiedzić Francyi. Trudno, wojna wogóle jest mało uprzejma. Cicia poznała dużo wybitnych osobistości z polskiego towarzystwa. „Towarzystwo bardzo miłe i dystygowane“ — tak pisze. Należy do komitetu, który zbiera pieniądze dla ziem polskich, dotkniętych wojną... Widziała Si-nkiewicza... Cicia się bardzo zapaliła do tej pracy...

Kazimierz uśmiechnął się.

— Proszę cię, nie uśmiechaj się, brzydki człowieku! Już ja wiem, co ty myślisz... Dla cici trzeba mieć uszanowanie... No tak, a dalej nic ciekawego. Pozdrowienia dla ciebie, uściski dla mnie i koniec.

— A kiedyż pani Wolska zamierza wrócić?

— Nie pisze nic o powrocie... Czekaj, teraz drugi list... Aha, to od ciotki Rzyckiej... Ludwik przyjaciół! Ach, jak to dobrze...

Walczak zmarszczył lekko brwi.

— Aha! To ten twój kuzyn ranny... Ten, co to podobno kiedyś kochał się w tobie...

Zona zaczęła się śmiać.

— Czyżbyś był zazdrosny? Bardzo to dla mnie pochlebne, ale w tym wypadku zupełnie zbyteczne... Ludwik, jeżeli nawet podkochiwał się we mnie przez tydzień, to w każdym razie bardzo po kuzynowsku i tylko w chwilach wolnych od innych, równie głębokich a poważnych „miłości“... Pamiętam, mówił mi zawsze, że jestem za poważna i zbyt wielka pedantka, krótko mówiąc, dawał mi grzecznie do zrozumienia, że jestem trochę nudna... A już pod

względem stałości uczuć — to zupełnie nie ustępował Józii... Lubiłam go jednak, bo to z gruntu dobry chłopiec... Matkę swoją uwielbia. Ciekawam, jaki też on teraz jest... Czy się zmienił bardzo...

— Kiedyż on przyjeżdża? — zapytał Walczak, przerywając żonie.

— Ach, widzisz jaka ja roztrzępana! Nie popatrzyłam... 5 go sierpnia.

Spojrzała na kalendarz ścienny.

— Ależ to już dzisiaj!... Pociąg przychodzi o czwartej! Powiem Maciejowi, żeby konie czekały przed trzecią. Pojedziesz ze mną na stację, K z u?

— Nie mogę, mam właśnie o tej godzinie konferencję z rządcą...

— No, to wezmę Józję.

— Będzie miała na kim próbować siły swoich wdzięków... Biedny Michnik!

— Czy można? — zabrzmiał nagle dźwięczny głos.

— Ależ chodź, Józiiu, chodź! Właśnie mówimy o tobie...

— Oj, pewnie nic dobrego...

Józia weszła do pokoju i położyła na stole ogromny bukiet kwiatów, bardzo niezgrabnie związanych i dość nieszczęśliwie pod względem zharmonizowania barw dobranych.

— Czyż to dzieło, ten piękny bukiet? — zapytał Walczak.

— A to pan Oleś ofiarował mi taką miotłę... Czy to nie wstyd, agronomem chce być, a bukietu porządnie związać nie umie...

— Istotnie! To nie do przebaczenia...

— E, pan sobie kpi ze mnie... Ale to nic nie szkodzi, nie gniewam się...

— Józiiu, jest list dla ciebie...

— Aha! To od mojej koleżanki Stefki Moszyckiej.

Wzięła list i wyjęła z koperty. Z początku czytała obojętnie, ale potem na jej twarzy odbiło się wyrażenie uczucia silnej przykrości.

Przybladła trochę, zacięła usta, sposepniała.

— Co ci to? Czy jaką niemiłą wiadomość otrzymałaś? — zapytała Anielka, kiedy Walczak wyszedł z pokoju.

— E, nic ważnego... Tylko Stefka pisze mi, że była w Z-kopanem. Widziała tam Żarnickiego...

Chodzi ciągle z jakąś panną... nadskakuje jej... Wydaje się bardzo zakochany...

Anielka wzruszyła ramionami.

— I ty się tem tak jeszcze przejmujesz?... Przestańże już raz o nim myśleć! Sama z nim zerwałaś, więc wybij go sobie nareszcie z głowy. Nic cię to teraz nie powinno obchodzić, z kim on chodzi i na kogo się patrzy...

— Tak, nie obchodzi mnie to wcale nic a nic... Niech sobie robi, co mu się podoba... Niech się kocha we trzech nawet naraz, w dziesięciu, czy w jednej... Wszystko mi jedno!

Znać było jednak po niej, że ją to obchodzi...

Anielka, chcąc ją oderwać od tych myśli, rzekła:

— Wiesz, Józiiu, przyjeżdża dzisiaj mój kuzyn Ludwik Rzycki, ten, który był ranny niedawno...

Zabawi u nas kilka tygodni... Pojedziesz ze mną na stację po niego?

Józia podniosła oczy na przyjaciółkę. Ożywiła się znowu.

— Jak najchętniej... Czy to ten, którego fotografię mi pokazywałaś — taki przystojny?... — Właśnie ten sam — odparła z uśmiechem Walczakowa.

— — — — —

Ludwik Rzycki już z okna wagonu spostrzegł kuzynkę przed małym drewnianym budynkiem stacyjnym, a obok niej panienkę w niebieskiej sukience i białym kapeluszu, przybranym polnymi kwiatami.

Ludwik nie widział Anielki kilka lat. Wydało mu się, że zbrzydła trochę. Była, jakby mniej świeża i mniej wiotka, ale oczy jej z pod długich, lekko podwiniętych rzęs świeciły zawsze cudnym, przeczystym szafirem, a twarz zachowała swój wyraz ujmującej słodyczy i rozumnej dobroci.

Ludwikowi przypomniały się nagle słowa, które o Anielce, podówczas młodej iutkiej panience, wyrzekł stary ich znajomy:

— Anielka ma w sobie coś z Maryni Pławickiej, tylko posiada mózg bez porównania silniej rozwinięty, aniżeli Sienkiewiczowska bohaterka... Zato w całej rozciągłości da się do niej zastosować określenie autora „Rodziny Połanieckich“, że jest to kobieta „bardzo swoja“, „bardzo pewna“ i „bardzo kochana“... Taka nie zawiedzie...

— Mał słusność — skostatował Rzycki, kiedy teraz po tak długim niewidzeniu zobaczył przed sobą kuzynkę — Takiej kobiety to ze świecą szukać...

(Ciąg dalszy nastąpi)